

Instytut Pamięci Narodowej - Archiwum

<https://archiwum.ipn.gov.pl/pl/historia-z-ipn/161165,Mateusz-Szpytma-Akcja-Reinhardt-na-prowincji-Przyklad-Markowej.html>
17.03.2026, 06:53

Mateusz Szpytma: Akcja „Reinhardt” na prowincji. Przykład Markowej

Holocaust nie był przejawem spontanicznych działań takich czy innych grup narodowościowych. Był efektem działalności państwa - Rzeszy Niemieckiej - które podjęło ludobójcze decyzje i użyło całej swojej potęgi, aby wymordować naród żydowski.

Na mocy IV konwencji haskiej z 1907 r., ratyfikowanej także przez Niemcy, okupant odpowiadał w pełni nie tylko za zachowanie porządku publicznego, lecz także za zapewnienie bezpieczeństwa ludności cywilnej na kontrolowanym przez siebie terenie. Tymczasem lata niemieckiej okupacji przyniosły zjawisko wręcz przeciwne – najeżdźca, przez swoje prawodawstwo i zbrodniczą praktykę, skazywał na wyniszczenie całe grupy ludności. W okresie największych zwycięstw III Rzeszy jednym z jej priorytetowych celów stała się eksterminacja narodu żydowskiego. Konsekwencją niemieckich planów w skali europejskiej były ludobójcze działania realizowane w wymiarze lokalnym.

Społeczności lokalne pod okupacją niemiecką

Wydane przez Niemców 15 października 1941 r. rozporządzenie o ograniczeniu swobody poruszania się w Generalnym Gubernatorstwie miało przeciwdziałać jakimkolwiek formom niesienia pomocy ludności żydowskiej. Ogłoszono w nim, że kara śmierci grozi nie tylko Żydom „bez upoważnienia opuszczającym wyznaczoną im dzielnicę”, lecz także wszystkim, którzy ich ukrywają. W wydanym rok później kolejnym rozporządzeniu restrykcje zostały rozszerzone:

„Wobec tego, kto uzyska wiadomość o tym, że jakiś Żyd bezprawnie przebywa poza obrębem dzielnicy mieszkaniowej, a nie zgłosi tego policji, zastosowane będą policyjne środki bezpieczeństwa”.

Pod groźbą represji okupanci żądali od ludności cywilnej aktywnej współpracy przy egzekwowaniu zarządzeń – zarówno tych skierowanych przeciwko ukrywającym się Żydom, jak i przeciwko wszystkim, których uznali za działających na szkodę III Rzeszy, m.in. kryjącym się w lasach. Z drugiej strony nagradzali kolaborantów informujących o nielegalnej działalności bądź o przypadkach sabotowania zarządzeń niemieckich. W ten sposób nawet pojedyncze osoby – zaufani ludzie władz niemieckich – poszerzały skalę zastraszenia i zapewniały okupantom pełniejszą kontrolę nad całymi miejscowościami.

Szczególne znaczenie w okupacyjnej administracji wyznaczono starostom. Uczyniono z nich

silny organ władzy, z bardzo szerokimi kompetencjami, często obsadzany Niemcami przybyłymi z Rzeszy. W wielu miejscowościach usuniętych urzędników zastąpili folksdojczce. Niemcy, realizując rozległe zadania wojenne i okupacyjne, nie byli jednak w stanie obsadzić swymi rodakami niższych stanowisk administracji lokalnej na szczeblu gmin i poszczególnych miejscowości. Dlatego utrzymano w Generalnym Gubernatorstwie część dotychczasowych urzędników, narzucając im nowe zasady funkcjonowania i nowe obowiązki – zgodne z zarządzeniami okupacyjnymi. Sołtysów zaś, będących mieszkańcami poszczególnych wsi, z reguły nie wymieniano, a nawet nie wolno im było rezygnować z pełnionych przez nich funkcji pod karą więzienia. Pełne posłuszeństwo wobec nowych zarządzeń wymuszano groźbą surowych represji. Rzeszowski Kreishauptmann (naczelnik powiatu) ogłaszał to na plakatach:

„[...] zostali na nowo powołani do służby polscy urzędnicy. Wykonują oni swoje obowiązki, używając środków nakazanych im przez władze przełożone. Mnożą się wypadki, że tym właśnie polskim urzędnikom (np. wójtom, sołtysom, urzędnikom skarbowym itd.) stawia się opór i utrudnia pracę. [...] stawiający zarządzeniom władzy opór ukarany będzie ciężkim więzieniem, a nawet karą śmierci. Taką władzę posiadają także ci polscy urzędnicy, którzy działają na podstawie bezpośredniego lub pośredniego polecenia władz niemieckich”.

Zasadniczym obowiązkiem sołtysów stało się przekazywanie miejscowej społeczności rozkazów okupanta. Odpowiadali osobiście za dopilnowanie ich wykonania. Duże wsie Niemcy podzielili dodatkowo na rejony, za które odpowiedzialnymi uczynili tzw. rejonowych. Podlegali oni sołtysom i byli współodpowiedzialni za egzekwowanie zarządzeń władz okupacyjnych.

Niemcy traktowali potencjał wsi jako darmowe zaplecze logistyczne działań prowadzonych na danym terenie. Na przykład sołtysi bardzo często otrzymywali rozkazy dostarczenia odpowiedniej liczby woźniców z furmankami. W 1941 r. miały one być dodatkowym środkiem transportu sprzętu wojennego na front wschodni. Podobne zarządzenia skierowano do sołtysów w roku 1942. Tym razem zaprzęgi miały służyć do przewożenia Żydów na stacje kolejowe lub wprost do obozów pracy.

W myśl zarządzeń okupacyjnych na społeczności wiejskiej spoczywał obowiązek szukania ukrywających się Żydów lub partyzantów. Na żądanie Niemców sołtysi musieli samodzielnie organizować poszukiwania wskazanych grup „przestępców” lub obławy na nich. Ani sołtysi, ani ludność nie mogli się od tego uchylić. Odmowa zostałaaby potraktowana jako bunt przeciwko władzom okupacyjnym i cała miejscowość narażałaby się na bezwzględną pacyfikację, przeprowadzaną przez Niemców na zasadzie odpowiedzialności zbiorowej. W wypadku wykonania poleceń okupanta szczególne znaczenie miała skala rzeczywistego zaangażowania i gorliwości ludzi uczestniczących w tego rodzaju poszukiwaniach. Po wojnie stało się to także przedmiotem postępowań

karnych i rozpraw sądowych.

Od 1942 r. powoływano strażę nocne, zwane również wartami wiejskimi. Formalnie miały one wspierać utrzymanie spokoju i porządku we wsi oraz przeciwdziałać przestępczości, do której zaliczano m.in. ukrywanie ludności żydowskiej. Warty podlegały sołtysom. Na ich czele stali komendanci, zwani też dziesiętnikami. Pełnili oni swe funkcje przez dłuższy czas i byli wynagradzani z wiejskich funduszy. W wielu większych wsiach funkcjonowała także odrębna warta, złożona z członków straży pożarnej.

Niemcy, by sterroryzować społeczeństwo i wymusić przestrzeganie okupacyjnego prawodawstwa, stosowali dodatkowo swoistą formę spersonalizowanej odpowiedzialności zbiorowej. Wyznaczali grupy zakładników, odpowiadających życiem za skrupulatne wykonywanie ich zarządzenia, przekazywanego – pod przymusem – przez granatowych policjantów lub sołtysów. W okupacyjnej praktyce zakładnicy stawali się jednocześnie grupą wykorzystywaną do realizacji poszczególnych zadań. Brak współpracy z ich strony mógł skutkować zesłaniem do obozu pracy, a w razie poważniejszych przewinień – rozstrzelaniem. Była to więc wyrafinowana metoda wykorzystania strachu jako formy nacisku. W ten sposób uprzedzano wszystkich mieszkańców, kto pierwszy zapłaci za niesubordynację. W dalszej kolejności odpowiedzialność spadała na pozostałych mieszkańców.

Rozkazy o przystąpieniu do organizowania obław lub poszukiwań ukrywających się ludzi sołtysi otrzymywali bezpośrednio od Niemców lub za pośrednictwem wójtów. Odpowiadali za skuteczną mobilizację członków wart, straży pożarnej i grup zakładników. W razie konieczności do wykonania tego zadania musieli wyznaczać zwykłych mieszkańców wsi. Często bezpośredni nadzór nad wykonaniem niemieckich zarządzeń sprawowali granatowi policjanci, a czasem sami Niemcy – żandarmi lub policjanci.

Ci, którzy zostali ujęci, byli doprowadzani na posterunki policji granatowej lub do wiejskiego aresztu gminnego. Tam czekali na przyjazd przedstawicieli władz okupacyjnych. Finał najczęściej był tragiczny dla odnalezionych: w dobie realizacji „ostatecznego rozwiązania” Niemcy z reguły dokonywali pojedynczych bądź zbiorowych mordów. Większość egzekucji przeprowadzali samodzielnie, niekiedy wyręczali się granatową policją.

Dramat tamtych czasów polegał na tym, że nawet sołtysi i członkowie wart przychylnie nastawieni do poszukiwanych nie mogli pozorować poszukiwań czy podejmować prób uwolnienia już ujętych. Jeśli wśród wykonujących zadanie był choćby jeden tajny informator bądź współpracownik Niemców, takie postępowanie groziło śmiercią za sabotowanie zarządzeń. Równie niebezpieczni jak okupanci byli ci, którzy gorliwie z nimi współpracowali.

Mimo to przypadki sabotażu się zdarzały. Warto tu przytoczyć fragment uzasadnienia jednego z powojennych wyroków, dotyczących uczestnictwa w akcji ujmowania ukrywających się ludzi:

„Sąd robi różnicę między udziałem biernym w łapaniu lub konwojowaniu a udziałem w ujęciu. W okresie okupacji niemieckiej co najmniej 1/4 ogółu ludności wiejskiej polskiej brała przymusowo udział w obławach na siebie. Nieraz cała partyzancka część ludności brała udział w obławach na siebie samych [tj. brała udział w poszukiwaniach partyzantów] i oczywiście nikogo nie znajdowała. Często chłopci idący obławą ułatwiali uniknąć ukrywającym się ujęcie ich. Wielu ludzi, a w tym i Żydów, zawdzięcza życie temu, że chłopci polscy ścigali ich lub ujętych już konwojowali w taki sposób, że dopomogli do lepszego ukrycia się lub zbiegnięcia po ujęciu”.

Zagłada Żydów w Markowej w 1942 r.

Jedną z tysięcy polskich miejscowości, w których Niemcy realizowali pryncypia zbrodniczej ideologii, była Markowa. Wieś ta w czasie wojny liczyła ok. 4,5 tys. mieszkańców. W okresie międzywojennym istniała tam dobrze zorganizowana spółdzielczość. Na przykład w 1935 r. założono w Markowej m.in. pierwszą w Polsce Spółdzielnię Zdrowia. Politycznie największe wpływy miał tu ruch ludowy. Zdecydowaną większość mieszkańców stanowili Polacy, istniała jednak także dość nieliczna społeczność żydowska. Ze spisu powszechnego z 1921 r. wynika, że w Markowej mieszkało 126 osób deklarujących wyznanie mojżeszowe. Liczba ta do wybuchu wojny mogła się zmniejszyć do około 120. Domy rodzin żydowskich nie tworzyły większego skupiska i były rozrzucone po całej wsi. Większość miejscowych Żydów zajmowała się handlem; dwie rodziny uprawiały ziemię. Stosunki między Polakami a Żydami w Markowej układały się poprawnie. Ze względów religijnych i kulturowych obie społeczności żyły niejako obok siebie, nie przenikając się wzajemnie. Nie przekładało się to jednak na stosunki między dziećmi, które w sposób naturalny podejmowały wspólne zabawy, uczęszczały też do tej samej szkoły. Według danych z ostatnich lat sprzed wojny, w roku szkolnym 1938/1939 do wiejskiej szkoły w Markowej chodziło 22 uczniów pochodzenia żydowskiego. Nie odnotowano tam nigdy poważniejszych konfliktów we wzajemnych relacjach dzieci polskich i żydowskich. O podziałach przypominać mógł co najwyżej zwyczaj wieszania przez młodzież w okresie Wielkiego Tygodnia „kukły Judasza” na drzewach przed żydowskimi domami.

W czasie wojny Niemcy zlikwidowali powiat przeworski. Markowa pozostała siedzibą gminy, ale weszła w skład okupacyjnego powiatu jarosławskiego. Jako duża wieś została podzielona na kilkanaście rejonów. W wiosce funkcjonował posterunek policji granatowej. Służyło tam od trzech do pięciu policjantów. Jednym z nich był szczególnie niebezpieczny folksdojcz Konstanty Kindler z Wielkopolski. Szybko dał się poznać jako nadgorliwy wykonawca niemieckich zarządzeń. Uczestniczył osobiście m.in. w rozstrzeliwaniu pojętych ludzi. Upatrywał w tym szans na awans i możliwość przejścia do służby w niemieckiej żandarmerii.

Od 1 stycznia 1941 r. policjantów z Markowej nadzorował nowo powstały, oddalony o 10 km, posterunek żandarmerii niemieckiej w Łańcucie. Dowódcą był tam por. Eilert Dieken – Niemiec pochodzący z północno-zachodnich rejonów Rzeszy. Dieken w kolejnych latach

dowodził wieloma akcjami pacyfikacyjnymi w okolicach Łańcuta. Brał udział w mordach na Żydach i Polakach. Był głównym organizatorem i wykonawcą antyżydowskiej akcji „Reinhardt” na tym terenie. Zasadnicza część tej akcji w powiecie jarosławskim przypadła na lato i jesień 1942 r. Miała ona na celu zgromadzenie wszystkich okolicznych Żydów w obozie w Pełkiniach i wymordowanie ich. Część pojmanych Niemcy zamierzali wywieźć z Pełkii do obozu zagłady w Bełżcu.

Wywożenie Żydów z Łańcuta i okolicznych wiosek, m.in. z Markowej, rozpoczęło z początkiem sierpnia 1942 r. Jeszcze w tym samym miesiącu Niemcy wprowadzili zakaz przebywania Żydów w Markowej. Żandarmeria niemiecka co kilka dni skrupulatnie kontrolowała postępowanie granatowej policji, a także wykonywanie zarządzeń okupacyjnych przez sołtysa i podległych mu ludzi, czyli rejonowych, wartowników i zakładników. Wydano nakaz, aby miejscowi chłopci stawili się z furmankami, które miały stanowić środek transportu Żydów. Chociaż ogłaszano, że chodzi o wyjazd do pracy, to już wtedy większość Żydów rozumiała, że czeka ich śmierć. Mimo to do wyjazdu zgłosiło się sześciu lub ośmiu Żydów z Markowej. Kilkudziesięciu innych ukryło się na polach, w lasach lub różnych zabudowaniach. Próbowali przeczekać. Niektórych ukryli polscy gospodarze w swoich domach, inni schowali się w ich stodołach czy stajniach bez ich zgody. Ukrywający się Żydzi pojawiali się we wsi wieczorami, prosząc o pożywienie i nocleg. Pewna grupa znalazła schronienie w lasach w Husowie, z kolei rodzina Ryfki Tencer lub Trinczer z pomocą Józefa Ulmy zbudowała sobie ziemiankę w jarach w pobliżu potoku. Co najmniej jedna rodzina – Riesenbachów – została ostrzeżona przez dwóch policjantów granatowych z miejscowego posterunku.

Wielu chłopów bało się jednak udzielać jakiegokolwiek pomocy. Wiedzieli bowiem, że grozi za to kara śmierci. Niemieccy żandarmi prowadzili razem z granatowymi policjantami doraźne przeszukania w jednym lub w kilku domostwach. Dni były coraz chłodniejsze i niektórzy Żydzi, nie mogąc znaleźć odpowiedniej kryjówki, sami zgłaszali się na posterunek. Co najmniej jedna ukrywająca się kobieta zmarła z wycieńczenia. Trudno stwierdzić, jak wielu markowskich Żydów zostało zamordowanych w 1942 r. – między początkiem sierpnia a 13 grudnia. Część z nich zastrzelił wspomniany policjant – folksdojcz Kindler. Gdy został awansowany na żandarma i przeniesiony na inną placówkę, Żydów zabijali niemieccy żandarmi z Łańcuta. W tym czasie mogło zginąć od kilku do kilkunastu osób, na co wskazują liczba ciał ekshumowanych po wojnie oraz okoliczność, że do rozstrzeliwania Żydów w Markowej dochodziło jeszcze przed akcją wysiedleńczą.

Niemcy zdawali sobie sprawę z tego, że mimo restrykcyjnych zarządzeń wielu Żydów ukrywa się zarówno w Markowej, jak i w innych wsiach oraz w pobliskich lasach. Na początku grudnia 1942 r. zorganizowali poszukiwania ukrywających się Żydów w Husowie, a niedługo potem w Markowej. Sołtysowi Andrzejowi Kudowi Niemcy nakazali przeprowadzenie poszukiwań w niedzielę 13 grudnia. Sołtys nie mógł odmówić wykonania zarządzenia, ale – co istotne – tego dnia przed południem publicznie poinformował o tym mieszkańców w ramach ogłoszeń, które przekazywał mieszkańcom przed kościołem w każdą niedzielę. W ten sposób uprzedził o planowanej akcji (trudno jednak określić, czy

było to jego intencją) i tym samym umożliwił gospodarzom ukrywającym Żydów zachowanie szczególnej ostrożności i lepsze zakamuflowanie kryjówek. Wiadomo, że natychmiast po powrocie z kościoła uczyniła to rodzina Józefa i Julii Barów, ukrywająca Riesenbachów, a Franciszek Bar przygotował nową kryjówkę dla Jakuba Einhorna.

Do poszukiwań sołtys zaangażował strażaków, wartowników oraz rejonowych. Ci ostatni mieli w swoich rewirach typować osoby, które wezmą udział w tej akcji. Przesłuchiwani po wojnie świadkowie najczęściej podawali, że uczestniczyli w niej strażacy (podobnie mówiono o tym w późniejszych relacjach, zebranych w 2003 r.), wymieniano również wartowników, zakładników, rejonowych, a niekiedy także ludność cywilną. Do tej ostatniej z pewnością zaliczano wspomnianych wyżej zakładników i rejonowych. Trudno ustalić, ile osób brało udział w akcji, ale prawdopodobnie było ich co najmniej 26. Świadomi tego, co działo się kilka dni wcześniej w Husowie, wszyscy wiedzieli, że schwytani zostaną zamordowani przez Niemców.

Nie ma pewności, czy w samych poszukiwaniach uczestniczyli granatowi policjanci. Na ich udział świadkowie wskazywali dopiero podczas kolejnych stadiów powojennych procesów karnych. Andrzej Rewer, jeden z sądzonych po wojnie, zeznawał – a za nim niektórzy inni świadkowie – że 13 grudnia, podczas poszukiwania Żydów, przebywał w Markowej gestapowiec Fryszko. Niezależnie od tego, czy ta ostatnia informacja jest prawdziwa, nie ulega wątpliwości, że poszukiwania ukrywających się Żydów odbywały się na rozkaz Niemców i że to oni rozstrzelali ujętych. Nie udało się ustalić precyzyjnie liczby schwytanych tego dnia. W różnych dokumentach pojawiają się liczby: 25, 20, 17 i słowo „kilkunastu”. Prawdopodobnie najbliższa prawdy jest liczba 25. W tym gronie było jego rodzeństwo: trzech bracia Markieł, Abraham, Nuchym i dwie siostry oraz Rywka/Ryfka i Tencer/Trinczer z dwiema córkami i wnuczką; Zelik/Zelig/ Zeilig z żoną i dwójką dzieci; rodzina Najderg/Neüberg oraz osoba ukrywająca się z fałszywymi dokumentami na nazwisko Stanisław Ciołkosz.

Granatowi policjanci zamykali Żydów w tzw. areszcie gminnym, znajdującym się przy głównym skrzyżowaniu we wsi. Tam byli przetrzymywani przez całą noc z 13 na 14 grudnia. Nazajutrz rano do Markowej przyjechali żandarmi niemieccy. Wyprowadzili z budynku wszystkich przetrzymywanych i rozstrzelali w dawnym okopie (służącym potem za grzebowisko zwierząt), wykorzystywanym przez nich podczas wojny jako miejsce egzekucji.

Nie ma przekazów potwierdzających, że tego rodzaju poszukiwania organizowano w późniejszym czasie. Wiadomo jednak, że po grudniu 1942 r. jeszcze wielu chłopów w Markowej, wbrew niemieckim zakazom, nadal ukrywało Żydów. Michał i Maria Barowie mieszkający z dziećmi Stefanią, Janiną, Weroniką, Antoniną i Antonim ukrywali Chaima i Ruzię Lorbenfeld oraz ich dziecko o imieniu Pesia. Józef i Julia Barowie z córką Janiną ukrywali rodzinę Riesenbachów: Jakuba i Iłę z synem Joskiem i córkami Gienią i Manią. W domu Antoniego i Doroty Szylarów i ich piątki dzieci: Zofii, Heleny, Eugeniusza, Franciszka i Janiny, od stycznia 1943 r. ukrywało się sześć osób z rodziny Weltzów: Miriam

z dziećmi Mońkiem, Abrahamem, Rešką, Aronem oraz żoną tego ostatniego o imieniu Shirley, a po kilku miesiącach dołączył do nich paroletni syn Arona i Shirley – Leon. W domu Michała i Katarzyny Cwynar, wychowujących wnuka Jana, przeżył Żyd używający imienia Władysław. Być może był to Mozes Reich, który po wojnie zeznał, że ukrywał się w Markowej. Jakub Einhorn ukrywał się na przemian w Husowie, Sieteszy oraz w Markowej. W tej ostatniej miał kilka kryjówek. Najpierw korzystał z gościnności Michała i Wiktorii Drewniaków, żyjących z dziećmi Antonim i Józefem, oraz Katarzyny Bar, jej syna Franciszka Bara i córki Stefanii Bar (ta ostatnia wychowywała wówczas córkę Helenę). Po śmierci Michała Drewniaka w 1943 r. Einhorn znalazł nową kryjówkę u Jana i Weroniki Przybylaków z dziećmi Bronisławem i Zofią. Według powojennej relacji Eugenii Einhorn, wdowy po Jakubie, u rodziny Przybylaków ukrywała się także trzyosobowa rodzina Żydów, którzy byli jego przyjaciółmi. Od lata 1943 r. w gospodarstwie Jana i Heleny Cwynarów, wychowujących córki Marię i Czesławę, mieszkał i pracował Abraham Segal. Podawał się za Romana Kaliszewskiego. Z relacji wynika, że pracodawcy po pewnym czasie zdali sobie sprawę z jego żydowskiego pochodzenia, a mimo to ukrywali go nadal. Niebezpieczeństwo zwiększał fakt, że Cwynar był w tym czasie członkiem kierownictwa konspiracyjnego ruchu ludowego w powiecie przeworskim, a w jednym z przejętych donosów pisano, że „jest wywrotowcem i prowodyrem ludowym”.

Największa grupa Żydów została przyjęta przez Józefa i Wiktorię Ulmów, którzy wychowywali wówczas dzieci Stanisławę, Barbarę, Władysława, Franciszka, Antoniego i Marię. Schronienie w ich domu znaleźli Saul Goldman z czterema synami (nazywani w Łańcucie Szallami) oraz dwie córki i wnuczka Chaima Goldmana z Markowej – prawdopodobnie Lea (nazywana także Layką) Didner z córką o nieznanym imieniu i Gienia (nazywana również Gołdą) Grünfeld. Wszyscy oni, razem z całą rodziną ukrywających, z będącą w ciąży Wiktorią, zostali zamordowani przez niemiecką żandarmerię 24 marca 1944 r.

Fragment tekstu z „Biuletynu IPN” 6/2017

► [Czytaj więcej na portalu przystanekhistoria.pl](http://przystanekhistoria.pl)